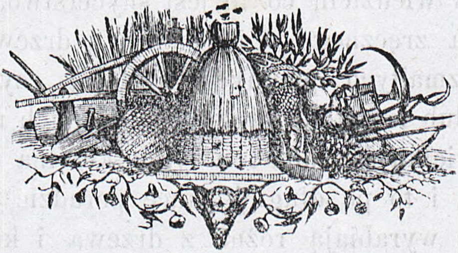
Tom XII. Nr. 5.

11. lutego 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wawrzyniec Knapiński,

kmieć z Lipowca, — majster snycerski.

Sprawiedliwość Boża równo rozdziela swe dary. Obsypuje Ona tak szczodrze zdolnościami ubogiego chłopka jak i bogatego pana. Często też z pod niskiej strzechy włościańskiej wychodzą znakomici mężowie, co są potem chlubą swego narodu. Niekiedy jednak zdarza się, że obdarzony zdolnościami chłopek, zamiłowawszy swój stan rolniczy, pracuje na własnej grzędzie, a w wolnych tylko chwilach oddając się tym sztukom i robotom, do których posiada dar od Pana Boga. Tacy właśnie włościanie są oczywistym dowodem łaski Bożej nad biednymi a zarazem przykładem, że w każdym stanie, nie zrucając siermięgi ojców, pracować można ku chwale Pana Boga i pożytkowi ludzkiemu.

Chcemy wam właśnie dla przykładu rozpowiedzieć kilka historyj o takich włościanach, którzy nadzwyczajnemi od Pana Boga obdarzeni zdolnościami, używali ich z pożytkiem, pozostając w skromnym chłopskim stanie, którego są prawdziwą

chlubą i ozdobą. Do takich ludzi należy kilku chłopów w Krakowskiem zajmujących się snycerstwem.

Abyście zaś wiedzieli, co to jest snycerstwo, powiem wam że jest to sztuka zręcznego wyrzynania z drzewa, kości lub na kamieniu rozmaitych pięknych postaci, czy to świętych Pańskich, ludzi lub kwiatów, drzew albo innych rzeczy. Sztuka to jest bardzo wielka i trudna, a tylko kto ma od Boga dane do niej zdolności, i to po długiej nauce poradzić jej może. Snycerze to widzicie wyrabiają różne z drzewa i kamienia figury do kościoła w ołtarzach stojące, co miłem jest Panu Bogu.

Otóż taką to sztukę umieją owi chłopi, a co tem godniejsze podziwienia, że się jej nigdy i nigdzie nie uczyli, ale tak szli za swojemi przyrodzonemi zdolnościami, i Pan Bóg pracom ich darzył.

Najsławniejszym z tych wszystkich wiejskich snycerzy był chłop nazwiskiem Wawrzyniec Knapiński, zamieszkały długi czas w wiosce Lipowcu, pod sławnem miastem Krakowem. Urodził on się w 1771 roku we wsi Płazie, niedaleko od Lipowca. Już od najpierwszej młodości okazywał wielką szykowność do strugania z drzewa różnych zabawek, figurek i tym podobnych innych sztuczek. Gdy podrósł, zajmował się robotami stolarskiemi, a wykonywał je z wielką zręcznością.

Zdarzyło się wtedy, że biskup krakowski Sołtyk ozdabiał w Krakowie swój piękny pałac. Wawrzyniec tam znalazł robotę. Jego zręczność, uczciwość, skromność, zwróciły uwagę biskupa, który polubił serdecznie młodego a tak zdolnego robotnika. Po ukończeniu przeto wszystkich prac w pałacu, zacny biskup opatrzył Wawrzyńca zapomogą i obdarzył na wieczne czasy siedzibą i kawałkiem gruntu we wsi Lipowcu.

Osiadł tu Wojciech, i orząc swoją skibę w wolnych chwilach oddał się z zamiłowaniem snycerstwu. Szczególniej piękne są jego wyroby męki Pańskiej bardzo delikatnie z drzewa wyrobione i we flaszeczce z małym otworem bardzo sztucznie umieszczone. Wyrabiał on także i innych świętych Pańskich, a ztąd ludzie nazywali go po swojemu bożkiem, bo pracował przedewszystkiem dla Boga. Nareszcie Knapiński dobrze

już podstarzały, pozostawiwszy mnóstwo pamiątek po sobie, zmarł przykładnym katolikiem w 1833 roku.

Lecz nie wygasła po nim w Lipowcu sztuka snycerska, bo Knapiński upatrzył sobie zdolnego chłopka, i nauczył go wyrabiania tego wszystkiego co sam umiał. Uczniem tym jest chłop nazwiskiem Bryłka, mieszkający obecnie we wsi Babicach pod Krakowem, gdzie ze zręcznością wielką zajmuje się wyrobami snycerskiemi, w które zaopatruje całe okolice. A kiedy już wam powiedziałem o jednym, to też powiem i o drugim takim snycerzu z chłopskiego stanu. I tak we wsi Czernichowie, także pod Krakowem, mieszkał chłop Kasper, zwany Sztuka, a tak wysoko zdolny w snycerstwie, że wykonał postacie świętych do ołtarza w kościele w Rybnem, nieopodal Krakowa położonem.

Wszyscy ci ludzi są przykładem tego, cośmy naprzód powiedzieli: że Bóg równo rozdaje swe dary tak ubogim chłopkom jak bogaczom jeno aby człek nie marnował tego daru, ale używał go w pracy i poczciwości na chwałę Pana Boga i pożytek dobrym ludziom.

Jak Kuba Bogu tak i Bóg Kubie.

Ułożył Jan Kanty Turski.

I.

Kuba był chłopem, co się nazywa:
Bo w nim i dusza była uczciwa,
I serce dobre, i obyczaje,
Że go gromada za przykład daje.
Czy popracować, czy się zabawić,
Czy przyjacielsko za kim się wstawić,
Wszędzie i zawsze Kuba najpierwszy,
Najuczynniejszy — ba! i najszczerszy,
Był też zamożny, Pan Bóg mu szczęścił,
Dobytek jego co rok się gęścił —
Co rok przybyło cielę lub jagnię —
Zgoła ma wszystko czego zapragnie.
Cieszy się zdrowiem i dobrą sławą
Rozrywa pracą, albo zabawą - -

*

Dziewczę dorodne kocha i bierze,
I wieczną wierność przysięga szczerze.
I taki szczęśliw żyje swobodnie:
I dziatwa mała rośnie dorodnie —
A on w rodzinny dom swój poglądа
Mówiąc, że więcej szczęścia nie żąda.

II.

I czemuż Kuba taki szczęśliwy?
Czyliż w tem jakie święcą się dziwy? —
Nie jeden sąsiad pyta zazdrośnie,
Czemu tak drugim szczęście nie rośnie?
O! mój sąsiedzie — nie sąć to dziwy
Jak mi świat miły, jako Bóg żywy.
Ale najprostsza tego przyczyna:
Że na nim żadna nie ciąży wina;
Że Kuba dobrze tego jest świadom,
Co winien Bogu, wiosce, sąsiadom.
Że nim do pracy wyjdzie — na progu
Najpierw oddaje cześć Panu Bogu.
I w miarę szczęścia w miarę radości
Co raz w nim więcej bożej miłości.
Więc się nie dziwcie i już na później
Niechaj z was żaden Kubie nie bluźni —
I niech pamięta, że w tym żywocie
Bóg szczęście dawa ludziom ku próbie —
I że się życie składa po cnocie:
Jak Kuba Bogu — tak i Bóg Kubie.
Tak mówił kapłan — gromadzie całej,
Gdy się na szczęście Kuby skarzyli —
I jego mienia pozazdrościli —
Tak mówił kapłan, jak gołąb biały.
A lud, co wierzył kapłana mowie,
Zrobił z słów jego świętych przysłowie:
I szło tak wsiami: szczęście ku próbie,
Jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie.

III.

Oj prawda, prawda: szczęście ku próbie:
Jak Kuba Bogu tak i Bóg Kubie.
I wytrwać w cnocie aż do ostatka
Toć to największa życia zagadka
Słuchajcież dalej moi ludkowie,
To się wam resztę o Kubie powie.

Bo on nie wytrwał choć dobry taki
I wolny z razu złości wszelakiej.
Nie wytrwał w cnocie, i z nim się stało,
Co się dziś dzieje z ludźmi nie mało.
Bóg sprawiedliwy dawał mu wiele
Bo Kuba Bogu służył statecznie
W domu i w mieście ba! i w kościele
I wszędzie — wszędzie czcił Go serdecznie.
Lecz na człowieka za wielka próba
Szczęścia obfitość, ciągła, niezmienna —
Więc się znudziła praca codzienna
Pracy nie trzeba: dość już ma Kuba.
Tego na całe życie wystarczy,
Choć Bóg chorobą chatę obarczy.
Choćby i ogień wziął coś — i woda
To będzie szkoda — lecz mała szkoda - -
Z tego się jeszcze zostanie tyle
Że za nim człowiek spocznie w mogile,
To i używać może obficie
I w bezczynności przebawić życie.
O ta bezczynność to taka luba
Gdy się już dosyć napracowało:
Dosyć już pracy — dość się zebrało:
Tak myśląc.... przestał pracować Kuba.

IV.

Ale występkiem duszy nie skaził
I Boga kochał — i nie obraził:
Jedynej tylko uległ przemianie:
Polubił spokój i próżnowanie.
I moi ludzie, ani się spodział,
W jaką się zaraz skórę przyodział.
Tak się na życiu prędko odmienił,
Jakby się iście cały wylenił.
Z małego zacząć pójdzie się dalej.
Kiedy już Kuba próżniactwo chwali,
Kiedy dostatków szczodrze używa
I już nie widzi, jak ich ubywa —
Ani się spostrzegł jak z życia zmianą
Wpadał dzień po dzień w przyszłość nieznaną.
Najprzód go naszły bezecne n u d y —
Których nie zaznał nigdy poprzódy.
Więc i nie wiedział, co na to radzić,
Dał się pokusie dalej prowadzić.

Z nudów urosła chętka rozrywki....
Już nie tej słodkiej co pracę słodzi:
Lecz kompanijki, niesforne spiewki,
I to co zawsze z niemi przychodzi —
I to co zguby bywa pobudką,
Co się nazywa piekłem lub wódką.
I tak powoli — szło co raz dalej —
Z nudów się pije — z nudów się pali —
Z nudów się trwoni grosz uzbierany,
To na odpusty, to na jarmarki —
Idą uciechy, bankiety, tany —
Aż się nareszcie przebrało miarki!
I ani patrzył poczciwy Kuba,
Jaka się stała różnica gruba
Już sam nie zgadnie, zkąd się to wzięło
Że mu się nie chce modlić jak dawniej —
I już mu pacierz idzie nie wprawniej....
Ani przed krzyżem serce nie drgnęło.
Lecz jakoś jeszcze składa się życie:
Ej co tam o to, że żona płacze,
Że jedno, drugie zmarło mu dziecię....
Przecież z rozpaczy serce nie skacze: —
Przecież są jeszcze na to sposoby
Pocóż koniecznie szukać żałoby.
Tak, tak! mój Kubo.... radź sobie jeszcze,
Póki cię bieda nie weźmie w kleszcze —
A ponoć ona już dosyć blisko;
Już twoje drogie zdycha konisko,
Już się i chata sterana wali,
Już się stodółka ze zbożem pali —
Już i ty pono bledniesz, siwiejesz —
Słychać że pijesz tylko — a nie jesz —
Ej co tam Kubo!... radź sobie jeszcze
Póki cię nędza nie weźmie w kleszcze.

V.

I cóż myślicie.... czy los oszczędza? —
Nie — nie ludkowie: przyszła i nędza.
Kuba zbiedzony i schorowany.
Już nie w roskoszne puszcza się tany;
Ale w szpitalnej białej odzieży
Na miłosiernej pościeli leży....
I czeka tylko.... aż Bóg wysłucha
I z nędznej skóry wywoła ducha.

A przed skonaniem w ostatniej chwili,
Żalem i skruchą serdeczną kwili: —
Dobrzeć to mówił kapłan on biały
Dobrze i wioski z nim powtarzały:
Że dla człowieka szczęście ku próbie:
Jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie.

VI.

I umarł w nędzy! Ostry sąd boski!...
Ludzie płakali z rodzinnej wioski,
A dzieciom wnukom za przykład dając
Mówili xiędza głos powtarzając:
Że dla człowieka szczęście ku próbie:
Jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie.
A ja wam jeszcze słówko dołożę,
Że z życia Kuby przykład wam taki,
Że praca zawsze ludziom pomoże
I od pokusy wstrzyma wszelakiej.
Im większe szczęście płynie ci z nieba
Tem ci ochotniej pracować trzeba.
Kuba że pracę w szczęściu porzucił,
Ano i Boga w niebie zasmucił:
Bo szczęście ludziom dane ku próbie:
Jak Kuba Bogu: tak i Bóg Kubie.

Człek zamyśla a Bóg kieruje.

Wyczytałam w książce bardzo ładny przytrafunek, jaki się był stał przed laty kilkunastu w jednem naszem mieście, a że jak co ładnego wiem, to bym wam chciała zaraz to spisać, otóż i ten przytrafunek podaję jak się zdarzył.

Więc tak było: w tem naszem jednem mieście polskiem był sobie piekarz, co żył wedle Boga, i dla tego wiodło mu się nie źle, nie był ci on prawda wielki bogacz, ale też i niedostatek był od niego daleko. Do tego miał uczciwą, pracowitą żonę, z którą dał mu Pan Jezus trzech ładnych chłopaków. Żyli sobie więc ci piekarzowie w szczęściu i swobodzie, nie zdzierając nikogo, ale owszem ile możności czyniąc bliźniemu dobrze. A nie jednemu lubił przyborgować, to mu ta

i przepadło nie raz, ale on się tem nie bardzo frasował ani się na ludzi nie gniewał, tylko zwykł był mawiać, że to daje na procent Panu Jezusowi. Cała ich turbacya była jeno, aby dzieci jak się patrzy wychować, i aby im taki los i takie rzemiosło obmyśleć, coby z niego byli kontenci i szczęśliwi i Bogu i ludziom pożyteczni. Piekarz zwykł był mawiać do swojej żony, że już każdemu obmyślił czem będzie i że się tak stać musi. No i tak stały rzeczy, tylko kiedy niekiedy sama piekarzowa mawiała, że to jeno sam Pan Jezus wie i On Sam oznaczy, czem który będzie z jego synów. Kiedy tak po mału chłopczyki dorastały, chowani w uczciwości i bogobojności, to zdarzyło się, że w jakieś większe święto, piekarzowa była u spowiedzi, a przyszedłszy z kościoła, była ciężko zadumana. Po obiedzie wyszli sobie oboje na ławeczkę przed dom, i piekarz począł jej się pytać, czego by taka zadumana była?

— Może ci chodzi o to, że nam w tym miesiącu dużo u ludzi przepadło?

— Ej o to mi ta nie chodzi — odrzecze piekarka — bo Pan Jezus ma więcej niż rozdał, tylkom się tak o naszych chłopakach zamedytowała, czem też który będzie.

— A niech że cię też o to głowa nie boli — mówił piekarz — bo jakem raz postanowił czem mają być, tem będą: Antoś będzie kupcem, bo ma spryt ku temu, Franuś będzie złotnikiem, a Józio pójdzie do szkół, i będzie z niego jaki urzędnik.

— Ej, któż ta wie czy tak będzie? — rzecze znowu piekarka — bo ci powiem, że kiedy dziś po spowiedzi i komunii ofiarowałam ich Panu Jezusowi, i rzewliwie się modliłam, to tak, jakby mi jaki głos rzekł do ucha, że jeszcze dziś przed nieszporem dowiem się dokumentnie czem który będzie z twoich synów — i otóż myślę jak to się stanie? — ale pójdźmy popatrzyć się do izby, czem się teraz chłopcy zabawiają?

I weszli do izby, patrzą — a tu Józuś ubrany w infułę z papieru, i niby kapę biskupią — idzie z procesyą a bracia mu asystują i spiewają.

— Oto już masz jednego — mówi żona do męża po cichu — co ci Pan Jezus pokazał czem ma być — czekajmy dalej. I nic nie mówiąc do chłopców, i udając jakoby wcale nie uważali, na tę ich zabawkę — spoglądają z boku, co tu dalej będzie?

Tym czasem Juziu udający biskupa, zdjął z głowy infułę i usiadł, że to niby zmęczony. Natychmiast przyskoczył do niego Franuś, wziął go za puls, potem złapał pióro, i począł niby receptę biskupowi przepisywać. No, to drugi — mówi piekarzowa, cóż powiesz na to mój mężu? — oczywiście nam Pan Jezus wskazuje.

Ale jeszcze nie domówiła tych słów piekarka, kiedy trzeci chłopiec Antoś wybiegł z drugiej izby, a niosąc na przetaczku obarzanki i inne ciasteczka, począł częstować biskupa — mówiąc: „czy też nie raczy co skosztować z jego pieczywa?“ To widząc zdumieli się oboje rodzice, bo oczywiście Bóg im pokazał, że nie tem będą synowie, czem oni zamyślali, ale tem, co się Panu Jezusowi będzie podobać. I kiedy tak stali w zadziwieniu, słyszą, że prawie na nieszpory zadzwonili.

— A nie mówiłam ci — rzecze piekarzowa — że jeszcze przed nieszporami będzie nam o naszych synach wola Boska odkryta.

No, i stało się tak, jak widzieli, Antoś został piekarzem, Franuś doktorem, a Józio xiędzem. W wszystkich doczekali się rodzice wielkiej pociechy. Józio był bardzo pobożnym proboszczem, Antoś uczciwym piekarzem, a Franuś został nadwornym doktorem samego króla w Warszawie, i nie raz rosło serce ojcu, jak widział swego Antosia w złocisiej karecie jadącego obok samego króla. No widzicie moi kochani, nie jestże prawdą, że człek zamyśla, a Bóg kieruje! A dla nas taka ztąd nauka, osobliwie dla was ojców, abyście się starali, od samej maleńkości swoje dzieci poznawać, do czego też, do jakiego rzemiosła lub nauki ma które ochotę, żeby go potem nie przyniewalać do takiego stanu, do jakiego on w sobie nie ma powołania, o! bo z takiego przyniewolonego do jakiego stanu człeka, to ani kraj, ani rodzina, ani sam Pan Jezus nie ma pociechy. Na to mówiąc: czuje które z dzieci chęć do

wyższych nauk, chce być piśmiennym człowiekiem, a ty go ojcze lub matko niewolisz do gruntu, to on ci już nie będzie lubił tak gospodarki, jak pióro. Albo znowu spodoba ci się, że też to pięknie i na chwałę Boga by było, aby twój syn został xiędzem, bo by też potem i na twoje lata stare dobrze ci było przy xiędzu; i dalej niewolić dziecko do duchownego stanu, kiedy ono do tego nie czuje powołania, tylko chce sobie zostać na roli porządnym rolnikiem; o! to jeżeli go do tego przyniewolisz, to ani Panu Jezusowi chwały, ani tobie pociechy nie będzie, bo przyniewolona służba, to i Panu Bogu nie miła. Dla tego wy ojcowie miejcie na baczności, abyście wasże dzieci do żadnego stanu gwałtem nie niewolili. Wam tylko jest przykazane od Boga, dzieci wasze do cnoty, do pobożności, do miłości Boga i bliźniego i do pracy przymuszać, a stan niech sobie już sami według swego powołania obierają.

Zostańcie z Panem Jezusem!

Ludka z Myślenic.

Jak robić złoto?

X i ą d z. Dobrze, mój Szymonie, żeście przyszli, mam z wami coś ważnego do pomówienia, a to się tyczy waszego szczęścia; ale wprzód muszę wiedzieć.

S z y m o n. A cóż takiego, proszę jegomości?

X i ą d z. Umiecie trzymać język za zębami?

S z y m o n. O jak kamień, proszę jegomości, jak tego potrzeba, nie otworzę gęby.

X i ą d z. Ale długo, bardzo długo, cały rok, trzeba milczeć, a potem zrobię was majętnym człowiekiem.

S z y m o n. Aż do śmierci będę milczał, bodaj mnie Bóg....

X i ą d z. Nie przysięgajcie się, Szymonie, bo wam nie będę wierzył. Kto się przysięga, ten też kłamie.

S z y m o n. Ja już z pewnością będę milczał.

X i ą d z. Tak Szymonie, macie dość, bardzo dość narobić sobie złota.

S z y m o n. Co? złota? Oj toby mi się przydało, bo tkwię w długach aż po uszy. Ale!...

Xiądz. Tak jest, ja umiem złoto robić i od dziś za rok pokażę wam, jak się robi!

Szymon. Ale ze mnie jegomość pewno żartuje?

Xiądz. Jakto możecie, Szymonie, tak źle o mnie myśleć?

Szymon. Oto proszę jegomości, niech się jegomość nie gniewa, bo to często jegomość powiadał: złoto robić, skarby wykopywać i t. p. to wszystko oszukaństwo i głupstwo a kto...

Xiądz. Tak jest, ja i teraz tak myślę. Jestto zwyczajnie oszukaństwo, ale z wami to rzecz zupełnie inna, rzetelna i uczciwa. Ja was pewno nie oszukam, bo pewien, którego ja dokładnie znam, co mnie nigdy nie zawiódł i pomagał mi w tysiącznych zdarzeniach, ten i wam chce dopomódz. Nie chce nic za to, ani teraz, ani później, tylko szczerej wdzięczności. Nie masz tu żadnych wydatków, tylko pewny zysk.

Szymon. Ale jeszcze coś, niech się jegomość nie gniewa, czemu jegomość dla siebie nie robi złota?

Xiądz. Ja go teraz nie potrzebuję, bo ten, który wam pomódz chce, wiele razy mi dopomagał i dotąd dopomaga. On mi wyraźnie rozkazał, żebym wam o tym sposobie, jak się złoto robi, powiedział.

Szymon. Niechże tak będzie w Imię Boże! to mi się przyda, jakby mi z nieba spadło. Jestem we wielkiej potrzebie.

Xiądz. Tak, ale Szymonie, otóż przypomina mi się coś. To z tego nic nie będzie.

Szymon. A czemuż nie?

Xiądz. Szkoda! — Wy nie zrobicie tego, co zrobić potrzeba. Idźcie sobie, żałuję, żem wam dopiero o tem powiedział. Ale nie powiadajcie tego nikomu, bo z wami nie da się już nic zrobić.

Szymon. O Jezus, Marya! Jegomość, gdy ja wszystko chcę zrobić i jegomość powiada, że ten dobrotliwy Ktoś jegomości mnie polecił.

Xiądz. Otóż widzicie. On się pytał. Jestże Szymon Drzymała uczciwy? odpowiedziałem mu — jest! — Boi się Pana Boga? — boi! jest pracowity? jest! Tedy rzekł: Idźże więc do Szymona Drzymały, powiedz mu, że go bogatym człowiekiem zrobię.

Szymon. Anu jużcić nie wiem, na czemby się jeszcze zahaczało!

Xiądz. Wy nie możecie tego zrobić, co On robić nakazał. To jest niepodobnem. Idźcie tylko. Niech wam Bóg dopomoże.

Szymon. Na rany Chrystusa! jegomość! coby tylko ktośkolwiek zrobić mógł, to ja chętnie będę robił.

Xiądz. Jakiśkolwiek? Cała parafia zrobiłaby to, czego wy nie zrobicie. To nic z tego nie będzie!

Szymon. Niechże mi jegomość powie, co mam robić, może będzie dla mnie podobnem. O z pewnością! Czy jegomość myśli, że to szczęście, które mnie czeka, odpycham nogami od siebie i nie chciałbym coś dla tego cierpieć, żeby z tej biedy wybrnąć, w której teraz jestem? Wszystko, ale wszystko zrobię!

Xiądz. Słuchajcie więc. Jeżeli chcecie umieć złoto robić, to musicie pilnie i zaraz jak rano wstaniecie i gdy spać pójdziecie, umyć sobie zimną wodą: głowę, piersi i ręce, często a szczerze do Pana Boga modlić się, musicie jak śniadanie i obiad zjecie, zaraz iść do roboty, a w niedzielę i święta nigdy nabożeństwa i kazania nie opuszczać.

Szymon. O! to są wszystko lekkie rzeczy. Modlitwa, robota i chodzenie do kościoła, do tego jestem od dziecinnych lat przyzwyczajony. Jeżeli nic więcej nie potrzeba, toć już złoto będzie moje.

Xiądz. Wy go jednak nie dostaniecie, bo czego jeszcze potrzeba, tego wy nie zrobicie!

Szymon. Niechże mi jegomość powie.

Xiądz. Nie wolno wam waszej żonie ani jednego przykrego słowa powiedzieć przez cały rok, ani na nią krzywo patrzyć. Patrzcie, toby wszyscy gospodarze w całej wsi zrobić mogli, ale wy tego nie zrobicie, a przecież to jest kobieta najuczciwsza, a wy ją bijecie i poniewieracie.

Szymon. Ta przeklęta złość! ale ja już z pewnością będę — ach gdybym tylko....

Xiądz. Wszakżem wam powiedział, że to nie pójdzie.

Szymon. Ach! że jej od dziś dnia nie będę bił, to jegomości zaręczam! Ale mój Boże, jak to łatwo czasem się słówko wyśliźnie.

Xiądz. Na to jest sposób. W pierwszym miesiącu wybaczę wam trzy słowa w złości powiedziane, ale tylko wtenczas, jeżeli potem żonę waszą przeprosicie, a ona wam odpuści; w drugim miesiącu tylko dwa, a w trzecim tylko jedno słowo, później zaś ani krzty! nigdy nie wolno wam żony uderzyć, bo wszystko byłoby za nic.

Szymon. Niechże Bogu będą dzięki! tylko na samym początku boję się, żebym nie miał coś takiego uczynić.

Xiądz. Ale wy nie macie się zapominać.

Szymon. O mój jegomość, przecież ja nie jestem dzieckiem! Ta nadzieja, że złoto będę robił, będzie mnie strzegła we dnie i w nocy.

Xiądz. Ale wy się nie wstrzymacie. Otóż wy jesteście pijakiem i upijacie się każdego wieczora, a jak się raz upijecie, to na wieki złoto stracone.

Szymon. O jakibym ja był szczęśliwy, żebym tej berbeluchy nie znał i ani jej spróbował. Ona to jest przyczyną mojego nieszczęścia, ale ja się już teraz nie mogę bez niej obejść.

Xiądz. Widzicie! wszakżem wam powiedział, że to nie pójdzie! otóż nie możecie się bez niej obejść. A dyć wy pijecie tylko jeden kieliszek, a potem znowu jeden, a potem tylko jeszcze jeden, a potem już ostatni, a potem ostatni z ostatnich i nakoniec jesteście: opilcem i waryatem, a tu złoto, któreby was rozweselało i zaspakajało przez całe życie, przepijecie je w jeden wieczorek.

Szymon. Jegomość! ja nie będę gorzałki pić, ani próbować, ani na nią patrzyć. Flaszki i kieliszki w domu potłukę i wyrzucę.

Xiądz. Patrzcie, Szymonie, ileście to razy mi obiecali i przyrzekali, a przecież nie wstrzymaliście się, a że potłuc chcecie flaszki i kieliszki, tem się nic nie naprawi. Byłoćby to dosyć, gdybyście jeden mały kieliszek przed południem, a drugi po południu wypili. Ale to nie pójdzie, bo wy się nie wstrzymacie. O! to piękne złoto, jaka też to szkoda go!

Szymon. To pójdzie proszę jegomości. O! to musi iść. Pan Bóg zlituje się nademną. Na szafie zrobię krzyż, a jak spojrzę na niego, pomyślę zaraz o złocie i nigdy jej nie otworzę. Mojej żonie oddam klucz. Powiem jej, jakbym chciał od niej klucz do gorzałki, to mi ma zawsze powiedzieć, o moje złoto, ja ci klucza nie dam. Otóż wtedy zaraz pomyślę, aha

złoto, złoto i zostawię jej klucz. Jegomość, teraz mi się dopiero oczy otwierają. Jakem był trzeźwy, tom mojej żonie ani jednego złego słowa nie powiedział. Ale proszę jegomości mojej żonie powiedzieć o gorzałce?

Xiądz. Nie, wy jej nic więcej nie macie powiedzieć jak tylko to, że na moje napomnienie odzwyczaicie się od gorzałki i ma zawsze do was mówić, ile razy z domu będziecie wychodzili: Moje drogie złoto, nie chodź mi do karczmy. Tak was też ma napominać, jak się rozzłościcie. Ja sam jeszcze z nią pomówię. Gdybyście wy tylko wytrzymali.

Szymon. O! zapewne wytrzymam. Ach jakby mi też to złoto dopomogło.

Xiądz. Ono by was zrobiło najszczęśliwszym człowiekiem w całej wsi.

Szymon. Będę się modlił, będę się we dnie i w nocy sam napominał, ach mój Boże, gdyby już nie chciało iść, to mi jegomość dopomoże.

Xiądz. Chodźcie tu do mnie często Szymonie, ja wam będę pomagał. Teraz idźcie do domu, dajcie żonie klucz od szafy, bo jak wy odemnie odejdziecie, to się już nasza ugoda zac yna. Jak jedno słowo złamiecie, już na wieki będzie złoto stracone. Czuwajcie i módlcie się, abyście nie wpadli w pokuszenie.

Szymon. Będę się modlił i czuwał każdy dzień. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Xiądz. Idzcie z Bogiem. (Dokończenie nastąpi.)

Rady gospodarskie.

O pasiekach, sadach i chmielnikach.

(Dokończenie.)

We wszystkich prawie stronach wdzięcznej naszej ziemi, chmielniki z korzyścią także zaprowadzone być mogą. Zakładają się zaś na ziemi czarnej z piaskiem zmięszanej, a zatem na pulchnej i żyznej, z warstwą spodnią przenikliwą dla wilgoci; na ziemi należycie oczyszczonej z chwastów, głęboko doprawnej i umierzwionej gnojem dobrze przegniłym, najlepiej z pod trzody chlewnej wyrzucanym. Wcześnie na wiosnę, odjęte od głównego korzenia odrośle korzeniowe, zdrowe, nie rdzewiaste, opatrzone dwoma do czterech oczek, grubości małego palca, najmniej sześć cali długie, oczyszczone z bocznych korzonków; sadzą się właściwym sposobem. Po wyrośnięciu chmielu do-

konywa się tyczenie z obrywaniem słabych łodyg; w Maju krzaki chmielowe oczyszczają się, a w czerwcu okopują, chociażby trzykrotnie w ciągu lata. Chmiel kwitnie w połowie lipca, a w czwartym lub piątym tygodniu dojrzałe szyszki zbierają się w dzień pogodny i cichy, suszą na przewiewnem miejscu, najlepiej w próżnym spichlerzu i przechowują w drewnianych fasach silnie upakowanych.

Kto ma pasiekę, sad owocowy i chmielnik, a starownie i umiejętnie koło tego wszystkiego chodzi, tęmu z pewnością bieda nigdy nie dokuczy.

Po wysłuchaniu tych moich rad, które jak mam nadzieję przez samych gospodarzy, pilnie i z uwagą odczytane będą — nie jeden z was, mili bracia, pomyśli sobie w duchu:

Dobreć to wszystko dla tych co mają sprzężaj, dobytek i jeszcze jaki taki grosz w skrzyni — ale co poradzi chudzina, który nic więcej nie ma tylko żonę, dzieci i zdrowe ręce?...

Otóż opowiem wam, że właśnie jeśli ma żonę zabiegłą i pracowitą, a przy zdrowych rękach szczerą chęć do poczciwej pracy — to Pan Bóg zresztą dopomoże. Potrzeba tylko żyć jak najoszczędniej; unikać karczem, jarmarków, pohulanek wszelkich; żadnego dnia nie zmarnować na próżnowaniu, a jeśli w domu nie ma roboty, pójść na najem do dworu, składać grosz do grosza ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

Pola swoje, jeśli takowy sam nie jest w stanie należycie obrobić, może obsiewać z drugimi na spółkę i dzielić się z nimi zebranem ziarnem, nigdy zaś słomą, z goninami i plewami, które na gruncie przez dobytek zużyte być powinny. Jeśli zaś nie ma wcale tego dobytku, to kiedy się krowy wycielą a cielęta odessą — niech sobie wyprosi na odrobek dwoje, troje lub czworo cieląt po krowach mlecznych, a pracowitemu, rzetelnemu i poczciwemu człowiekowi, każdy, czy to sąsiad, czy kmotr lub krewniak, czy też pan we dworze, chętnie wygodzi i dopomoże. Wyproszone w ten sposób cielęta, niech pielęgnuje i doziera jak oka w głowie, a najdalej we trzy lata, będzie już miał dwie, trzy, lub cztery krowy i tyleż cieląt własnych; jednem słowem będzie już miał dobytek, przychówek z każdym rokiem i mierzwę. Mając zaś dobytek i mierzwę, to kiedy Pan Bóg poszczęści, reszta pójdzie już dalej jak z płatka.

(*Kmiotek.*)

RÓŻNOŚCI.

Szkoła. W pewnej wiosce, w obwodzie Rzeszowskim była kłótnia o szkołę. Jedni gospodarze mówili, że potrzeba postawić szkołę porządną, i złożyć się na utrzymanie uauczyciela, a drudzy mówili, że to ciężar na gromadę, że szkoły nie potrzeba; nie uczyli my się, a jemy chleb, to i nasze dzieci go bez pisma i nauki jeść będą. A był we wsi pewien bogacz, imieniem Szczepan Kociuba ten najwięcej mówił na szkołę i urągał się z nauk, i tak mówił:

— Nauka jeść nie da, u mnie nauka batóg! cep! siekiera! ja umiem czytać i pisać pługiem, radłem i broną po polu, i kosą po dolinie; a piórem po papierze niechaj sobie pisze kto chce.

— Dobrze bardzo nasz kum Szczepan Kociuba mówili, rzekł jeden z przeciwników, jak powyuczają się nasze dzieci, to nie zechcą robić.

I stało się na tem, że szkoły nie potrzeba. Ta gawęda odprawiała się w karczmisku u rudego Ajzyka, co to dobrze umiał z nich ciężko-zapracowany grosz wyciągać. Szczepan Kociuba za to, że większa połowa gromady na jego niby to mądrą radę przystała, częstował wszystkich gorzałką.

Na drugi dzień poschodzili się gospodarze znowu w to samo miejsce; a wójt tak prawić jął:

— Panowie gromada! Ja was tu na to zwołałem, ażebyście uradzili, aby nająć pastucha do pasienia wieprzów: już wiosna nadchodzi, kobiety zabierać się będą do sadzenia jarzyn w ogrodzie, ażeby nie było takiej biedy z wieprzami, jak w przeszłych latach; ja bym chciał by nająć pastucha żeby je pasł w kupie, to byłyby ogrody i gumna w wiosce spokojniejsze. Czy przystajecie na to, czy nie?

— Dobrze! dobrze! mówili wszyscy, lepiej zapłacić i nie mieć kłopotu i szkody, i uradzili, i zgodzili pastucha od każdej sztuki po cztery szóstek za lato. Przy tej radzie był i Andrzej Szpak, starszy brat, człowiek rozumny, że najwięcej mówił zawsze za szkołą ale, jak to bywa wszyscy go przemagali. Gdy już zgodzili pastucha, Andrzej Szpak wstaje z ławy, i mówi:

— Panowie gromada!! cicho no! ja jeszcze coś wam mam powiedzieć. I jął tak prawić: To jest bardzo a bardzo dobra rzecz, że wieprze nie będą w samopas chodzić, i że będzie taki, co ich będzie pilnować. A ja pytam się was panowie gromada co wam milsze jest, czy wieprz czy dziecię? A dzieci nasze mają także w samopas chodzić, rozpustować po wsi, za ludźmi szczuć psami, prochem rzucać za podróżnymi, w domu czas mitrężyć, po ogrodach i sadach szkodę robić, uczyć się jedno od drugiego brzydkich słów, nieposłuszeństwa, przeklinać, wszelkich zbytków, złodziejstwa i obrazy Boskiej, a nie najmiecie do nich doglądacza, któryby ich nauczył Boga chwalić i starszych szanować? A to nie śmiech panowie gromada, że na pastucha do wieprzów są pieniądze, a na doglądacza (nauczyciela) dzieci nie ma?

Na to nic odpowiedzieć nie mogli, bo Andrzej Szpak mądre słowa powiedział, jeszcze trocha przemawiali się i taki wyszło na Andrzejowe, że gromada postanowiła płacić rocznie 200 złr. na szkołę, przyjęli nauczyciela i żebyście wiedzieli, jak wyuczyły się Szczepana Kociubki dzieci pisać i czytać, to Szczepan najbardziej był rad szkole, i dodał co roku nauczycielowi, oprócz należytej płatni, jeszcze po korcu pszenicy i żyta.

M. Horoszko, szkolarz.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.